ROK TRZECI.

—

№ 51.

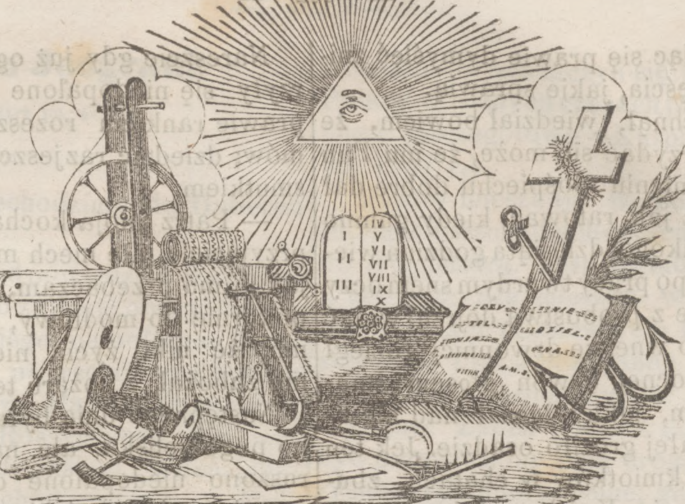
Warszawa

Dnia (7) 19 grudnia

1858.

Niedziela

4ta Adwentu.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45 miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rs. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wzbudź, prosimy Cię Panie! potęgę twoję i przyjdź, a wielką mocą wesprzyj nas; niech miłosierna litość twoja przez zasiłek twej łaski przyspieszy pokutnym przebaczenie, które iżbyśmy osiągnęli, przeszkadzały nam dotąd grzechy nasze. (Kollekta na niedzielę 4tą Adwentu).

Palec boży.

—

— Pojeżdżaj Walenty, pojeżdżaj, wołał na woźnicę swego pan jadący traktem od Włodawy na Podlasiu.

Noc już była ciemna, koła bryczki to się nurzały w piasku, to sztukały o kamienie; niepodobna było jechać prędzej, a pan się widocznie niecierpliwił, nie tą niecierpliwością gniewną i niczem nieusprawiedliwioną ludzi gwałtownych, ale jakimś niepokojem smutnego przeczucia, które wzniecało w nim pragnienie dojechania jak najprędzej do swoich. Dlatego też widząc, że wjechali w las gęsty, który sąsiednią wioskę od jego pól rozdzielał i w którym jeszcze mniej pospieszyć można było, westchnął głęboko i rzekł zcicha:

—Czy tam tylko kto w domu nie zachorował? potem dodał głośniej do starego woźnicy: nie wiem, co to znaczy mój kochany Walenty, ale dziś z niespokojności rady sobie dać nie mogę.

— Ot, tak dopuszczenie boże -- a kiedy pan wszystkich swoich w zdrowiu zobaczy, to się jeszcze lepiej poraduje.

Jechali tedy dalej, milcząc, aż las rzednieć zaczął, i oczy ich ujrzały na lewo na schmurzonem tle nieba ciemne zarysy chat rodzinnej wioski.

Pan zawołał pierwszy:

— Dla Boga! toć to się moje gumno pali!

— Ach! gwałtu! zawtórował Walenty i zaciął konie tak, że skoczyły jak oparzone i porwały bryczkę w gwałtownych poskokach po nierównej drodze.

Było to po wiosennych zasiewach, stodoły więc puste mieściły tylko w sobie resztki wymłóconej już słomy; lecz koło stodoły, którą dziedzic palącą się zobaczył, stała z jednej strony owczarnia, z drugiéj obora, gdzie były wszystkie woły robocze, ta główna podpora rolnego gaspodarstwa.

Dopędzili nareszcie do miejsca pożaru podróżni nasi, stodoła jeszcze cała zajęta nie była, a tylko wpośrodku u dwóch przeciwnych wrót jednego klepiska buchały dwa ogniska wysokim, wąskim wznoszące się słupem, ciche jeszcze, niby dwie wielkie świece

gorejące, nie dając się prawie dymyśleć zniszczenia i nieszczęścia, jakie sprawią.

Dziedzic odetchnął, wiedział bowiem, że jeszcze ratunek przydać się może, że mu Pan Bóg w tem pragnieniu pośpiechu dobre dał natchnienie. Lecz jak ratować, kiedy gumno puste? Nie widać nikogo; dziesiąta godzina wieczorna wszystkim po pracy twardym snem oczy skleiła. Aż przecie z probostwa dojrzał widać ktoś płomienie, bo wnet ze dzwonnicy rozległ się wśród ciszy nocnej dzwon głosem smutnym i przeciągłym, jakby jęczał nad nieszczęściem, które całej groziło osadzie. Jęk ten żałobliwy zbudził kmiotków w chatach, zbudził i dworskie sługi. Każdy położywszy na czole znak krzyża Śgo, wyjrzał, co się dzieje na dworze, a łuna bijąca od pańskich gumien dała mu dostateczną odpowiedź. Naraz zabrzmiało we wszystkich ustach z płaczem, z wyrzekaniem, lub z przestrachem to straszne słowo: *pali się*! a dziedzic biegał tu i owdzie ze starym woźnicą, wołając o wodę i kubełki do jej czerpania, bo wśród takiego zgiełku trzeba umieć przewodzić tłumowi, inaczej powstaje zamieszanie, które jeszcze ratunek utrudnia. Lecz nasz dziedzic był to dawny wiarus, co głos miał od komendy, jak zawołał, krzyknął, poskoczył, sam z siebie przykład dając, wnet zaczął się z ładem prowadzony ratunek; wygnano, choć z trudem owce z owczarni i woły z obory, przecięto kommunikacye z innemi budynkami i wnet odosobniona stodoła zajaśniała jak stos olbrzymi, którego jaskrawe płomienie przeglądały się w obok będącym stawie. Stodoła była ubezpieczona w Towarzystwie Ogniowem, więc była nadzieja, że się strata wróci; ale zkądże powstał ogień? Pytanie to czynili sobie wszyscy przytomni, patrząc na opadające z trzaskiem belki, a dziedzic wyrzekł z boleścią do całéj gromady:

— Zapytuję was dzieci, czy jest pomiędzy wami który mój nieprzyjaciel?

— Bogiem a prawdą, to na nikogo podejrzenia nie mamy, odezwało się kilka głosów.

— Jednak znalazł się zły człowiek, chcący mojego nieszczęścia; wyraźnie ktoś podpalił stodołę.

Wieśniacy zaczęli robić różne domysły, ale wszystkie pokazały się być fałszywemi; nie można było trafić na ślad podpalenia.

Nareszcie gdy już ogień ustał, a tylko kurzyły się niedopalone szczątki, nad samym prawie rankiem rozeszli się wszyscy do domów; dziedzic raz jeszcze wyrzekł do żony ze smutkiem:

— Patrz moja kochana, więc mamy nieprzyjaciela, ale niech mu Bóg przebaczy, tak jak ja mu przebaczam, i cała rodzina klękła pokornie do modlitwy, dziękując Najwyższemu, że nikt życia nie utracił, nikt nawet nie zubożał z pożaru tego.

Następnego dnia była niedziela i nie ruszano pogorzeliska, ale na trzeci dzień gdy poruszono niedopalone drzewo, pokazały się osmolone dwie ludzkie nogi; reszta ciała w pół przywalonego belką, spalona była na węgiel.

— Ach! nieszczęście, ktoś życie stracił, zawołała pani, temu odgrzebaniu przytomna.

— Palec to boży dotknął zbrodniarza, odpowiedział z powagą stojący tam właśnie ksiądz proboszcz. Parobcy są wszyscy, nikt nie spał w tej stodole, widać więc, że to podpalacz, co wszedł tędy od wrót, i czy go dym wnet udusił, czy przywaliła słoma tak, że się wydobyć nie mógł, to już u Boga pozostanie tajemnicą.

Tymczasem chłopi jęli się rozpatrywać w szczątkach trupa i poznali, po butach że to był Stefan Soroka.

A wiecież wy, kto to był ten Stefan, którego prawdziwą śmierć tu wam opowiedziałem? Pochodził on z tej samej wioski i już w 18 roku życia za liczne kradzieże na więzienie w Siedlcach zasłużył. Z czasem wypuszczony wrócił gorszym jeszcze; wtedy dziedzic widząc, że kara sądowa nie skutkowała, wydał polecenie, podług którego Stefan miał mieć dodanego strażnika, któryby go ciągle przy pracy utrzymywał i nie dozwalał chodzić do karczmy. Miarkujecie bowiem, że tak zły człowiek jak Stefan, w pracy się nie kochał i próżniactwo było grzechem, które go do wszystkiego złego doprowadziło. Po pięciu dniach takiej kary Stefan potrafił oszukać swoich strażników, uciekł i przepadł bez wieści. Teraz po pożarze przypomnieli sobie niektórzy, jak słyszeli, że zemstę panu poprzysięgał, lecz mieli zarazem zbawienny przykład, że czyn zemsty obraca się przeciw tym właśnie, co chcą szkodzić bliźniemu.

Rozmowa o Jeografii.

(Ciąg dalszy, patrz nr. 48 Cz.)

—

Jaś. To dziś już przechodzimy do Gubernii Augustowskiéj?

Ojciec. Tak, i naprzód powiedzieć wam muszę, gdzie ona leży; oto zajmuje ona północną część Królestwa Polskiego; na południu łączy się z guberniją Płocką, na wschód i na północ rzekami Narwią, Biebrzą, Hańczą i Niemnem, przytyka do Cesarstwa Rossyjskiego, a mianowicie do gubernii Grodzieńskiéj, Wileńskiéj i Kowieńskiej, a na zachód graniczy z Królestwem Pruskiém.

Jaś. Czy Augustowska Gubernija większa od tych, o których dotąd tata nam mówił?

Ojciec. Nie; mniejsza od nich, a większą jest tylko od Płockiéj, o któréj wam powiem z kolei. Ma ona wszystkiego 342 mile kwadratowe rozciągłości, a mieszkańców w niéj 607 tysięcy. Iluż przypada mieszkańców na jednę milę kwadratową.

Jaś. Sześć kroć sto tysięcy mieszkańców, a przeszło trzysta mil kwadratowych; to na jednę milę około 2 tysięcy.

Ojciec. Właśnie tyle, bo 1774 mieszkańców. Ale ci mieszkańcy nie z samych Polaków się składają; owszem, w żadnéj gubernii nie ma takiéj rozmaitości plemion i wyznań jak w Augustowskiéj. Są tam Mazury, Kurpie, Rusini na Podlasiu Augustowskiém, Litwini, Tatarzy, Filiponi i nakoniec Żydzi. Z tych Mazury i Kurpie są pochodzenia polskiego, a różnią się z sobą niewielkiemi odcieniami w mowie.

Jaś. W któréj że części mieszkają Kurpie?

Ojciec. Oto, wjechawszy z południa to jest od Warszawy w gubernię Augustowską, nie dojeżdżając do Łomży, zwróć się na lewo koło miasteczka Nowogrodu, a napotkasz siedziby Kurpiów. Nazywają się oni tém imieniem od swego obówia, które plotą z kory lipowéj i przewiązują na onuczy rzemykiem lub sznureczkiem. Obówie takie nazywa się w téj okolicy kurpiami, w innych miejscach postołami, chodakami i łapciami. Kurpie mieszkają w gubernii Augustowskiéj i Płockiéj, głównie w okolicach miast Nowogrodu, Ostołęki, Myszyńca, i zajmują się większą częścią bartnictwem i myśliwstwem. Słynni są z celnego strzelania, i odznaczyli się w wojnach, które Polacy w różnych czasach prowadzili ze Szwedami. (Szczegółowo o Kurpiach, patrz nr. Cz. 36, 1857 r.)

Mazury mieszkają w południowych i południowo-wschodnich częściach téj gubernii aż do Augustowa. Jest to lud skrzętny i dosyć pracowity; aże mieszka w części kraju między Prussami i Cesarstwem Rossyjskiém, czasem więc i na kontrabandę się puszcza.

Jaś. Co to kontrabanda?

Ojciec. Żaden towar z zagranicy nie może być przewieziony inną drogą jak przez komory lub przykomórki celne, gdzie właściwi urzędnicy towar ten przeglądają, i pobrawszy od niego na rzecz skarbu pewny podatek czyli *cło*, wpuszczają do kraju. Towar taki rozumie się nie może być sprzedawany po téjże cenie co za granicą, bo kupiec rachuje sobie naprzód, procent od kapitału wyłożonego na zakupienie, powtóre, koszta przewózki, potrzecie, cło pobrane na komorze, po czwarte, straty nieprzewidziane, jak naprzykład, niemożność całkowitéj wyprzedaży towaru, po piąte, koszta utrzymania ludzi, najęcia sklepu i tak daléj. Stąd pochodzi, że towar sprowadzony do nas z zagranicy kosztuje czasem dwa i trzy razy więcéj, niż kosztował na miejscu, w fabryce. Starozakonni więc, mieszkający nad granicą, chcąc prędzéj przyjść do majątku, starają się częstokroć oszukać czujność władzy i towary przemycają nie zaczepiając o komory celne; do pomocy zaś w tych przeciwnych prawu czynnościach swoich używają włościan, którzy złudzeni wynagrodzeniem, często za parę rubli nadstawiają karku, nie pomnąc na to, że lepszy godziwy zarobek choć mniejszy, niż występny choćby miał skarby przynieść za sobą. Otóż takie nieprawe wprowadzenie towarów do kraju nazywa się kontrabandą.

Daléj, w tejże gubernii, w stronie jéj wschodniéj mieszkają Podlasianie, nazwani tak od części kraju, która się nazywa Podlasiem. Mówiłem już wam, że w dawnych czasach mieszkali tu dzicy Jadźwingowie, lecz po ich wytępieniu ziemię ich zajęli Polacy i Rusini, z których pierwsi przyszli z zachodu to jest z Polski, drudzy ze wschodu, to jest z Rusi, która w owym czasie stanowiła część Litwy. Szlachta cała jest pochodzenia Polskiego.

Niemieccy osadnicy czyli koloniści najliczniejsi są w południowych częściach gubernii, koło Śniadowa; jest to lud pracowity, zajmujący się gospodarstwem rolném, chowem bydła, ogrodnictwem, tkactwem. Od nich to lud nasz powinien przejąć zamiłowanie do pracy; tymczasem jak dotąd, włościanie nasi nie zapatrują się na niemieckich przybyszów, i nie naśladują ich wtéj główném ich cnocie, to jest w pracowitości. Od miasta gubernijalnego Suwałk zaczyna się Litwa, któréj mieszkańcy znani są z zamiłowania do pracy i przemysłu, a nadewszystko z pobożności. Litwini mówią innym niż my językiem, to jest litewskim, zamieszkują trzy północne powiaty gubernii Augustowskiéj, a mianowicie, Sejneński, Kalwaryjski i Maryjampolski. Wiedzą oni lepiéj, niż włościanie nasi z innych części kraju, że nauka i praca sprowadzają dobry byt, i dla tego rozsądniejsi z nich nie uciekają od książki, jakby od czegoś niemiłego Bogu, owszem uczą swe dziatki naprzód w szkółkach elementarnych, potem w szkole powiatowéj w Maryjampolu, gdzie na dwustu uczniów jest dziś do stu pięćdziesięciu dzieci chłopków.

Jaś. A po cóż chłopkowi książka?

Ojciec. Naprzód, tego co jest zdatniejszy i pojętniejszy, a czuje w sobie powołanie, to jest chęć szczerą, kierują na księdza, i w tym celu oddają go do seminaryjum, gdzie taki uczeń długo jeszcze się uczy, jak być miłym Bogu i pożytecznym dla swych bliźnich; a gdy już się wyuczy i otrzyma święcenia kapłańskie, pracuje nad moralną poprawą swych braci w Chrystusie, a groszem zapracowanym dzieli się z niezamożną rodziną, pomagając rodzicom do pobożnego wychowania pozostałego rodzeństwa.

Jaś. Ale dla tych co nie idą na księży, czy książka potrzebna?

Ojciec. Na to odpowiem ci następującą prawdziwą powiastką. W jednéj wsi poznałem się z sołtysem, człowiekiem bardzo na swój stan zamożnym, ale który ani czytać, ani pisać nie umiał. Otóż dowiedziałem, się że ten sołtys wziął do swych dzieci nauczyciela, żeby ich czytać, pisać i rachować nauczył. Zapytałem się go, po cóż uczy dzieci, kiedy sam ani czytać, ani pisać, ani rachować nie umié; a on mi na to: proszę Pana, ojciec mój nieboszczyk tak mały zostawił mi majątek, że i dobytek, i uprząż, i narzędzia gospodarskie mogłem na palcach policzyć; ale ja długą pracą zebrałem przy Boskiéj pomocy tyle, że już dzieci tego nie zliczą na palcach; niech więc nauczą się teraz, żeby potem umieli zapisać to co im zostawię, żeby umieli przerachować całą spuściznę, żeby zapisywali dochód i rozchód; a jak czasem jaka sprawa w sądzie wypadnie i każą podpisać się, żeby przecież wiedzieli, co podpisują, i naprzód przeczytali to sobie z uwagą; pójdzie oto chłopek do wojska, a będzie potrzebował pomocy, to przecież napisze do ojca, do matki, do brata, to mu co można poszle się w pomoc; a w wojsku, jak umie pisać, to i prędzéj na podoficera wyjdzie i małoż to jeszcze korzyści ma ten, co umie czytać i pisać. Albo, naprzykład, w kościele, oto stoisz, stoisz, odmawiasz pacierze, to czasem myśl gdzieś cię zaniesie daleko, do karczmy, to już i obraza Boska zaraz; a jak ma książkę przed sobą, to skończy pacierz, i daléj odmawia sobie to litaniję jaką, to modlitwy za ojca, za matkę, za swój kraj, i za cały świat chrześcijański. Oj to to, wszystko to nam mówił nieraz ksiądz pleban; jakoś w młodości to nas nie nauczyli, a teraz to już i ciężko. Niechże przynajmniéj dzieci modlą się za nas, a Boga proszą o odpuszczenie grzechów.

Jaś. I dobrze tam na Litwie mają się włościanie?

Ojciec. Bardzo dobrze; bo chętnie pracują i Boga chwalą: praca tuczy, a Pan Bóg błogosławi.

Jaś. Tata mówił, że i przemysłem się trudnią; jakimże przemysłem?

Ojciec. Naprzód, prowadzą handel zbożem, którego nie sprzedają zaraz po zwiezieniu do gumna, ale wyczekują do wiosny, aż się ceny podniosą; powtóre, trudnią się uprawą lnu i chowem owiec, a z tego lnu i wełny kobiety wyrabiają dobre płótno i bieliznę stołową, oraz kilimki czyli dywaniki i inne pożyteczne tkaniny.

Tuż pomiędzy Litwinami osiedli Tatarzy, których liczba dwóchset osób nie przenosi, a ci słyną ze swéj poczciwości i rzetelności.

Jaś. Czy Tatarzy wyznają tę samą religiję co i my?

Ojciec. Nie; wyznają oni wprawdzie tego samego Boga, i mają o nim takież jak i my

pojęcie, to jest, że Bóg jest Przedwieczny i Nieskończony, czyli że nie miał początku i końca mieć nigdy nie będzie; ale w innych prawidłach czyli dogmatach wiary różnią się z nami, i kiedy my w Jezusie Chrystusie widzimy Syna Bożego, który przyszedł na świat, żeby nas zbawić, oni nazywają Go tylko prorokiem, wyżéj nad Niego stawiając Mahometa, który ułożył dla nich księgę religii, moralności i prawa, nazywaną przez nich Koranem czyli Alkoranem. Tatarów więc, jako wyznawców Mahometa nazywają Mahometanami, tak jak nas, wyznawców Chrystusa, Chrześcijanami.

Jaś. A któż są Filiponi, o których tata wspomniał z początku?

Ojciec. Są to Rusini, którzy przyszli z głębokiéj Rossyi, i nazwali się Filiponami od swego przywódzcy Filipa, inaczéj Starowiercami.

Jaś. Dlaczego Starowiercami?

Ojciec. Wiesz przecie, bom ci to już mówił, że Rossyjanie nabożeństwo odprawiają nie w języku łacińskim, jak my, ale w dawnéj mowie sławiańskiéj, na którą przed tysiącem lat dwaj księża katoliccy, święci Cyrylli i Metody, przełożyli Pismo święte. Dawniéj kiedy ksiąg drukować nie umiano, zwykle Pismo święte przepisywali ludzie, czasem i tacy, co niedobrze rozumieli to co pisali. Stąd do ksiąg świętych wkradło się mnóstwo błędów, tak że duchowieństwo Ruskie przekonało się o konieczności ich poprawienia i wydrukowania dla użytku powszechnego. Było to przed dwustu laty. Ale wielu ludzi nieumiejętnych, porównawszy nowe księgi ze staremi, do których się oddawna przyzwyczaili, dostrzegli zmiany i w niebogłosy krzyknęli, że im Pismo święte pofałszowano, tém bardziéj, gdy obaczyli, że samo imie *Jezus* stało wydrukowane nie tak, jak dawniéj pisano; bo kiedy przedtem pisano *Isus*, w nowych księgach stało *Iisus*. Krzyknęli więc, że to nie ten Jezus, którego oni wyznają i pozostali przy dawnych księgach, odrzucając nowe. Ztąd to poszła nazwa Starowierców, to jest ludzi trzymających się staréj wiary.

Jaś. A po cóż oni do Polski przyszli?

Ojciec. Bo w domu mieli kłótnie, których uniknąć chcieli; uciekli więc do Polski i Litwy, gdzie znaleźli gościnny przytułek.

Jaś. A to widać, że Polska była gościnną.

Ojciec. O, Polska była schronieniem dla wszystkich uciśnionych i prześladowanych. Ciemiężono Żydów w Niemczech, we Francyi, w Hiszpanii, gdzie ich nawet żywcem ze skóry obdzierano; daléjże uciekać, dokąd? do Polski; zaczęły się między Niemcami rozruchy o wiarę; strona zwyciężona musiała z kraju się wynosić, dokąd? a jużci do Polski, gdzie i swoim, i gościom nigdy chleba nie brakło; Filiponi nie mogli się oprzeć silniejszéj stronie, która nowe poprawione księgi przyjęła, więc daléj, ruszają z kraju, dokąd? zawsze do Polski.

Jaś. To i Tatarzy tak samo uciekli z kraju?

Ojciec. Ci jedni nie uciekli; ale Królowie Polscy i Książęta Litewscy w swych wojnach z Tatarami, zabierali ich w niewolę i do kraju naszego sprowadzali. Ale Polska niewola to lepsza od ladajakiéj wolności; bo skoro taki niewolnik wstępował nogą na ziemię Polską, już z niewolnika stawał się wolnym, dostawał ziemi kawał i miał sobie zabezpieczoną opiekę prawa. I tak od wieków w Polsce bywało; i ze wszystkich przybyszów najwdzięczniejszymi okazali się Tatarzy; oni kraj nasz pokochali i w potrzebie piersiami swemi go zasłaniali, nie szczędząc za niego ani krwi, ani ofiar.

Jaś. Jeszcze o jakiémś plemieniu tata wspomniał w początku.

Ojciec. O Żydach; ci mieszkają po miastach, a znacie ich dobrze, żebym się miał jeszcze nad nimi rozwodzić.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Gawęda na targu wołowym na Pradze.

W każdym prawie z domów przy targu wołowym na przedmieściu Pradze położonych, dla wygody handlujących, a zysku właścicieli lub lokatorów, przyrządzaną bywa w dnie piątkowe sprzedaż ciepłych napojów, mianowicie też herbaty.

Jedna lub dwie izby, zastawiane kilkoma stołami i odpowiednią liczbą stołków, kipiący samowar, para plasterków cytryny, trocha pierników i ciastek, stanowią całkowity przyrząd

tych zakładów, zwykle przez żydów u trzymywanych, a różniących się pomiędzy sobą większem lub mniejszem zaniedbaniem porządku.

Ostateczne przybicie targu o kupno wołów, zaliczenie gotowizny, zapłata lub wyjednanie kredytu, wszystko przy szklance herbaty uskuteczniane bywa.

Przybyli w znacznéj liczbie za kupnem wołów rzeźnicy, zgromadzili się w jednym z pomienionych zakładów i jednomyślnie jakby pod zmową ogólną, na niekorzyść prowadzonego rzemiosła i kłopoty z niego wynikłe, wzajemnie uskarżać się poczęli. Wtenczas obecny pomiędzy niemi Mateusz Rogowski, podmajstrzy, na swoję rękę proceder prowadzący, ująwszy za barki stojącego obok towarzysza i kolegę Michała Pęcinę, słynnego w cechu z wesołości i dowcipu, powszechnie pod imieniem *Michałka* znanego, rzekł:

— Wiesz co Michałku, że kością mi już w gardle stoi to nasze rzemiosło; człowiek pracuje jak wół i tyle nie ma zarobku, żeby towar za własne kupić pieniądze— trzeba znów żyda uściskać.

— Czy to ta kość stanęła wam w gardle, panie Mateuszu, odpowie Michałek, coście ją Franusi dołożyli dla przewagi mięsa, za co was tak nielitościwie miłowała?

— Żarty ci się zawsze trzymają, a mnie ledwie łeb nie pęknie, zkąd wziąć pieniędzy; zjadły już człowieka żydowskie procenta i zjedzą do reszty!

— Co wam będzie p. Mateuszu? tłusty z was połeć, a nim tłusty schudnie, to chudego djabli wezmą. Co innego Walek i Paweł: im jak wlazł Szlama na kark z komornikiem, to już i stary Wątróbski nie poradzi, ale wy podwyższycie grosz na funcie to na procent wystarczy.

— Już ci mówiłem Michałku, że dziś nie mam głowy do żartów.

— No, to kiedy nie chcecie żartów, to wam powiem prawdę, że jak się zaweźmie Szaja Herszek i Szlama, to nas wszystkich licho weźmie.

— Niech jasny piorun trzaśnie taki zarobek, gdybyś chciał być uczciwym i ludzi nie drzeć, to zdechniesz z głodu, a jak okpisz dwa grosze na funcie, i na zapłatę żydowskich procentów nie starczy i do kozy się dostaniesz.

Na te słowa nadszedł z targu młody człowiek średniego wzrostu, związłej tuszy, zadysponował dwie szklanki czystej herbaty, siadł przy stoliku, sparł głowę na ręku i w zamyśleniu oczekiwał towarzysza przygotowanego poczęstunku; twarz jednak jego nie odpowiadała mocy ciała, jaką był obdarzony; widoczna po niéj przebiegała troska.

Dostrzegłszy przybysza, Michałek przechylił się na stołku w stronę, w któréj tenże zasiadł i zaczepił go temi słowy

— Cożeś tak głowę pochylił p. Franciszku, jakbyś miał być jutro szlachtowany?

— Niewiele do tego brakowało, niechby mi Szaja nie dał wołów, to tylko do Wisły po radę. A jak jeszcze kupione!... sam widzę, że na każdéj sztuce straty do czterech dukatów. Ale co robić, trzeba brać, jakie da i za jaką cenę, brak bowiem funduszu, a kredyt tylko u żyda. Nie dziw się więc panie Michale, że w takiem położeniu człowiek oczu od ziemi podnieść nie może; zwróciwszy się zaś do zastawionego szynkwasu, kazał sobie podać kieliszek araku.

Ledwie wychylił przygotowany trunek, ukazał się we drzwiach Szlama z życzeniem na ustach: niech będzie na zdrowie... dobry zrobiliście interes p. Franciszku, kiedy tak gładko idzie.

Usłyszawszy powyższe wyrazy, Franciszek wskazując mu miejsce i przygotowaną herbatę, rzekł:

— Okpiliście mię p. Szlama, a ja jednak powiadam, że nie ma jak z wami interes.

— No, jakto okpili, co to okpili? odrzekł Szlama, czy mój towar to chorobliwe jakie bydlę, albo co, że p. Franciszek takie krzywde mi mówi?

— Nie o to idzie, że zdrowe; chorego bydlęcia wprowadzać niewolno, ale że drogo kupione; niewarte te pięć sztuk wołów po 16 dukatów, a ja wam po 20 zapłaciłem.

— Jak to zapłaciłem? macie dopiero zapłacić panie Franciszku!

— To tak dobrze, jak gdybym zapłacił; albo darowałbyś mi choć grosz, jakbym ci nie oddał na termin z utargowanych.

— Gewałt! to wielka rzecz, że mi oddacie to, co mi się należy, a procent od moje pieniądze to nie wart te cztery dukaty, co sobie na woły liczycie?

— Wszak procent oddzielnie policzony.

— No to od kredytu, ale policzcie procent od te pieniądze, co ja za woły zapłaciłem i od cały interes, jaki ja muszę zrobić, nim woły tu przyprowadzę. Jak nie chcecie p. Franciszku, to ich oddajcie; ale co będziecie robić i wasza żona i wasze dzieci?

—Jego żona i dzieci nie pójdą w marne, choćbyś mu wołów nie dał, odezwał się siedzący nauboczu Michałek, a ciebie zawsze djabli wezmą razem z fortuną, na naszej krzywdzie zrobioną.

Te upokarzające wyrazy przerwał Franciszek, łagodząc Szlamę tem, że niema jak z nim robić interes: człowiek pieniędzy nie da, a woły do szlachtuza prowadzi i handel idzie.

Kiedy takie wiodą zwady i targi, z przyległéj izby wyszedł mężczyzna, podeszłego już wieku, ale czerstwy i szlachetnego wyrazu twarzy, na którego przybycie wszyscy obecni powstali, Szlama zaś uchyliwszy czapki, nisko się pokłonił i nieznacznie wyszedł.

Oddane uszanowanie nakazywało domyślać się w przybyłym przełożonego rzemiosła, jakim też był rzeczywiście.

Wojciech Wątróbski, tak się nazywał starszy zgromadzenia, znany w całym cechu z rzetelności i uczciwéj pracy, zyskiwał powszechną ufność i szacunek. Tak pochlebnej używając opinii, Wątróbski, który słyszał w przyległej izbie spory, jakie pomiędzy handlującymi zaszły, bez ogródki przedstawił kolegom swoim stan krytyczny, w jakim pozostają, prowadząc proceder nie własnemi zasobami, ale kredytem na lichwiarskich procentach opartym. Wyświetlił im następstwa, do jakich stan ten doprowadza, wykazał korzyści z rzemiosła jedynie własnemi funduszami i uczciwą pracą prowadzonego, a gdy przejęci prawdą słów jego rzemieślnicy domagali się, aby rozumem swoim i dobrą radą podźwignął ich z grożącego upadku, aby ich wyrwał z zależności od żydów, od której nawet wyłamanie się zpod praw uczciwości ocalić ich nie może, rzekł:

— Serce moje rozdzielić pomiędzy was, chętnie gotów jestem, modlitwę do Boga, aby was oświecił i upamiętał codziennie czynię, ale sam nie posiadam tyle grosza, abym was z rąk nieuczciwych lichwiarzy mógł wykupić. Pierwszeństwa żadnemu dać nie mogę, boście mi równi, a zawielu was w złe zabrnęło, abym wszystkich mógł poratować. Jest jednak środek wielką ulgę w waszem położeniu przynieść mogący, mądrze obmyślany i dla każdego przystępny. Słyszałem ja w Magistracie i była już o tem mowa, nawet już wyszło ogłoszenie, że Rząd wejrzał na smutne położenie i stan niepewny, w jakim się znajdujemy; a chąc nas wyrwać z rąk spekulantów, postanowił przyjść w pomoc wszystkim bez wyjątku, zaliczaniem na kupno wołów za opłatą procentu w stosunku 7 od sta rocznie.

— Opowiedzcie nam panie starszy dokumentnie to prawo, abyśmy je zrozumieć mogli i wiedzieli, jak postąpić.

Słuchajcie więc:

— Każdy z nas potrzebujący funduszu, a nie mający odpowiednich własnych zasobów, będzie mógł w Magistracie złożyć deklaracyą na prostym papierze, z żądaniem zaliczenia, a każdego piątku na Pradze będzie zjeżdżał kassyer z pieniędzmi miejskiemi i pożyczki na kupno wołów wypłacał. Zwrot zaś pierwszej połowy wypożyczonych pieniędzy nastąpić winien w ciągu dni 10ciu od dnia wypożyczenia. Będzie to prawdziwe dobrodziejstwo, bo jeżeli np. weźmiesz zaliczenie na 5 wołów w cenie dukatów 75 czyli złp. 1350, to zapłacisz procentu w stosunku 7 od sta rocznie, od połowy za pierwsze dni 10, zł. 1 gr. 10; od reszty zaś i za drugie dni 10, złp. 2 gr. 19.

A że pieniądze miejskie, jako grosz publiczny, muszą mieć bezpieczeństwo, pożyczka więc nie inaczej wypłaconą będzie, jak za poręczeniem albo dwóch właścicieli kamienic, albo za poręczeniem wzajemnem za siebie 25ciu rzeźników cechowych.

Na te słowa obecni dali znak nieukontentowania. Michał zaś Pęcina otwarcie oznajmił, że nikt za drugim pisać się nie będzie, co usłyszawszy Wątróbski mówił dalej:

— Niekontenci jesteście moi koledzy, że wymagać będą poręczeń, niegotowi więc jesteście do niesienia tej przyjaznej usługi. Zły to znak bardzo; dowodzi on, jak sami źli jesteśmy i jak nierzetelne są nasze sprawy, skoro wzajemnej ufności nie pokładamy. A jakże śmielibyśmy żądać tej usługi od obcych, kiedy jednego rzemiosła i jednej chorągwi dzieci, wiarę u siebie straciliśmy. Widziałem ja nieraz, jak niejeden z was na żydowskich re-

wersach za drugim się pisał, dla czegóż odmówić mielibyście tej usługi w sprawie dobra waszego tyczącej.

— Ale jeszcze nowy sęk... (odezwał się inny)... no prawda, mają dawać zaliczenia, ale przy takiem współ-ubieganiu i ścisku, jak się tam dostać? kto tam ma jakie stosunki, to mu łatwiej, ale...

— Bądźcie spokojni, kassa, o której mowa, będzie zostawać pod zawiadywaniem 2 obywateli i 2 osób z grona naszego, zpośród cechu rzeźniczego przez was samych obieranych; do nich więc w każdym razie jakiejś napotkanej trudności, sami bez ogródki udawać się będziecie mogli.

—To prawda p. Wojciechu, wy zawsze macie racyę, odpowiedzieli słuchacze—zrazu nie mogliśmy tego zrozumieć, ale teraz poznaliśmy, że to jest z naszem dobrem, i że nietylko trzeba, ale powinniśmy przez wzajemne poręczenia z pomocą sobie przychodzić. Powiedzcie nam tylko p. Wojciechu, czy to już żydów wcale na targu nie będzie i jak się to bez nich przy kupnie obejdzie?

—Żydzi tak samo, jak wszyscy mieszkańcy kraju będą mogli mieć udział w handlu bydłem, ale tylko od faktorstwa bezwzględnie wyłączonymi zostaną.

—A co, nie mówiłem, że ich djabli wezmą?! przerwał w tej chwili Michałek.

—W miejsce zaś dotychczasowych faktorów i spekulantów, ciągnął dalej z uśmiechem Wątróbski, ustanowionych zostaje 4ch przysięgłych meklerów, na początek tylko *chrześcian*, którzy handel ułatwiać będą w obowiązku, a nawet pośredniczyć przy wypłacie pożyczek w ten sposób, że takowe za poświadczeniem przez nich kupna, czyli za tak zwanym *szlusscetlem* z kassy wypłacane będą. Za ułatwienie handlu, mekler mocen jest pobierać dla siebie procent najwyżej jeden od sta od wartości zakupionego bydła, jeżeli o mniejsze wynagrodzenie umowa nie zaszła. W razie zaś jeżeli sprzedający i kupujący bydło, sami się między sobą ugodzą bez pomocy meklera, ma on prawo za wydanie szlusscetla pobrać wynagrodzenie od wołu lub krowy po kop. 15, a od innych zwierząt po kop. 1éj.

Po wysłuchaniu opowiadania Wątróbskiego, wszyscy zgromadzeni rozeszli się ukontentowani nowiną, jaką im zwiastował, na polepszenie bytu ich wpłynąć mającą.

ŻYCIORYSY KMIECI.

(Patrz n. Cz. 49.)

7. Jan Miszczuk.

—

Jan Miszczuk gospodarz pańszczyzniany ze wsi Kuczek, w powiecie Kaliskim, odrabia trzy dni sprzężajem, a $1^1/_2$ pieszo na tydzień. Pańszczyznę tę odrabia z $12^1/_2$ morgów gruntu, gdyż pięć mórg łąki osobno dzierżawi.

Na tak małej przestrzeni roli doszedł do tej zamożności, że dla dwóch swoich synów okupił dwa gospodarstwa, jedno za Zł. pol. sześć tysięcy, drugie za tysiąc sześćset.

Pomimo takiego dostatku. pozostał na gruncie pańszczyznianym, nie chcąc się ruszać z miejsca, na którem wiek swój od młodych lat do sędziwośći przepędził, z roli i siedziby, gdzie się przyzwyczaił, gdzie tyle własnej pracy i potu znojnego złożył, gdzie mu tak Bóg dobry trudy jego pobłogosławił.

Nie chciał, jako sam wyraził, obok tego i pana swego porzucać, pod ktorego rządem zostawał lat tyle, a dobrze i błogo mu było.

W osobie Jana Miszczuka zwiedzający obywatele jego gospodarstwo znaleźli starodawną postać prawdziwie polskiego kmiecia, pełną skromności i powagi. Człowiek ten pracowity i bogobojny może służyć za piękny przykład wzorowego nietylko gospodarza, ale zarazem owego węzła patryarchalnego, jaki przed laty kojarzył naszego kmiecia z dobrym panem i ze dworem szlacheckim, przypomina ową pełną prostoty rozmowę sławnego poety *Jana Kochanowskiego z Czarnego lasu* ze swym włodarzem, w której pobratersku wspominając dawne lepsze czasy, popijali dla ugaszenia pragnienia z jednego glinianego dzbanka, piwo smaczne i posilne, sycone w domowej zagrodzie.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 1 (13) grudnia 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*